

► obyczajów) przez tych, którzy przybyli do miasta, żeby studiować, jedząc chleb ze smalcem w ciasnym akademiku. Ich dzieci już uważały studia za oczywistą życiową drogę, a wnuki jeżdżą na stypendium „Erasmus” za granicę.

Na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego istnieje Pracownia Prostej Polszczyzny. Przyznam, że wydaje mi się to naddatkiem strukturalnym (chyba proste określenie?), jakkolwiek uznają korzyści, jakie z działalności jej pracowników odniósł ING Bank Śląski, nadając swoim obiegowym dokumentom postać łatwiej zrozumiałą dla klientów banku oraz innych czytelników owych tekstów.

W nakłanianiu do używania poprawnej polszczyzny nie pomogą tego rodzaju przedsięwzięcia, mogą jednak dostarczyć narzędzi do sprawnego klasyfikowania, hierarchizowania (ewentualnie) błędów, ustalania ich źródeł i społecznej stratyfikacji. Żeby powstrzymać, a przynajmniej spowolnić, psucie się języka, trzeba z braku poprawności językowej uczynić wstydliwą przywarę („wiochę”, „bądźwie”), piętno, jakim nikt nie chce być naznaczony. Może tu się przydać Internet – bardziej niż konkursy na Złotoustych (z istoty bardzo pozytywne), bo w każdym konkursie laury uzyskują wyróżniające się jednostki, a rzecz idzie o to, by wszyscy Polacy mówili poprawnie po polsku.

MAGDALENA BAJER

Re: Zасыpywanie rowu

Los pokarał mnie niezłą pamięcią. Stąd pamiętam różne zdarzenia, które w jakiś sposób konstruują mój obraz świata. Pamiętam na przykład zdarzenie, gdy jako student rozmawiałem z kolegą, który wyraził pogląd, że technicy (fizycy, bo obaj to studiowaliśmy) mogą w swoich badaniach uzyskać wyniki szkodliwe dla ludzkości, a wszystko, co wymyślą humaniści, może przynieść tylko dobre rezultaty. Uzasadnieniem poglądu było to, że w naukach ścisłych powstają różnego rodzaju niebezpieczne narzędzia zniszczenia. Jednak już wtedy taki pogląd wydał mi się wątpliwy. Zapamiętałem go i gdy natrafiam na jakiś fakt jawnie mu przeczący, przypomina mi się to zdarzenie.

Niestety, przypomina mi się często. Bo – jak mówią – „nie miecz tępy karaj, a rękę, która nim włada”. W przypadku wszelkich narzędzi zniszczenia nie ich stworzenie jest niebezpieczne, a ich użycie. I, oczywiście, nie chodzi tylko o broń. Każdego narzędzia można użyć dla dobra ludzkości i każdego – przy odrobinie zdegenerowanego pomysłu – można użyć do popełnienia zbrodni. W przypadku naprawdę dużej zbrodni głównymi „sprawcami” są humaniści. I nic dziwnego, bo to oni dzierżą „rząd dusz” i są w stanie zachęcić do takich czy innych działań. Wystarczy wskazać na wojny religijne albo próby (czasem udane!) eksterminacji narodów. Tego nie wymyślili inżynierowie. To dzieła twórców religii i narodów, czyli humanistów. Bo zarówno religie, jak i narody tworzą intelektualiści z nastawieniem humanistycznym. Bez humanistów nie byłoby nawet pojęcia narodu, bo aby stworzyć naród, trzeba stworzyć jego odrębną kulturę. Oczywiście, ludzie od nauk ścisłych także tworzą kulturę. Ta jest jednak nieco inna od tej humanistycznej. Jej inność polega na tym, że kultura ta (mówiąc prosto: wynalazki i wiedza przyrodnicza) bardzo łatwo przekracza

granice i tylko w nielicznych przypadkach może być częścią odróżnienia swój–obcy, będącego głównym źródłem konfliktów. Nie znaczy to jednak, że mamy wszystko zwać na humanistów, gdyż bez ich osiągnięć żyło by się nam dużo gorzej, a wśród przedstawicieli nauk przyrodniczych także znajdziemy takich, którzy – dla promowania (czyli działalności typowo humanistycznej) swoich osiągnięć – proponowali co najmniej mało etyczne zastosowania tych osiągnięć.

Całkowicie zgadzam się z ABBA („PAUza Akademicka” 373), że należy zasypywać rowy między wszelkimi grupami ludzkości, w tym między humanistami a technnikami. Przede wszystkim tym sposobem, jaki działa w naukach przyrodniczych, czyli przez rozpowszechnianie osiągnięć. I tu całkiem niezłe rzeczywistość temu sprzyja. Jesteśmy coraz mniej przedstawicielami różnych narodów, a coraz bardziej ludźmi XXI wieku. Oglądamy te same filmy, słuchamy tej samej muzyki i na co dzień używamy tych samych urządzeń. Dlatego coraz trudniej nas przekonać, że oni są „be” a my „cacy”. Coraz trudniej, ale dalej jest to możliwe. Nawet zupełnie absurdalne poglądy uzyskują poparcie, bo w polityce obowiązuje zasada *divide et impera*. Niestety, dajemy się na to nabierać, bo... bardzo często przy *divide* pojawia się nadzieja, że coś zyskamy, a „oni” tracą. Najczęściej zysk marny, a obustronne straty ogromne. Ale z drugiej strony – żyć z czegoś trzeba i nadzieja na taki czy inny kontrakt jest zachętą do przymknięcia oka na to czy tamto.

Czy jest jakaś wskazówka jak postępować? Wydaje się że tak. Nie bądźmy chuliganami i nie akceptujmy naszego zysku, jeżeli jego ceną musi być „ich” nieproporcjonalnie wyższa strata. I stosujmy do „nich” tę samą zasadę – czyli walczymy, kiedy „ich” zysk jest nieproporcjonalny do „naszej” straty.

JERZY KUCZYŃSKI
Planetarium Śląskie, Chorzów